

A gdy płomień zgaśnie

Autor: Nicz



Jeszcze nigdy jednostka nie osiągnęła tak wiele w tak krótkim czasie. Pod tym względem wszelacy historycy byli zgodni. Ci o odmiennym zdaniu szybko je zmieniali, albo kończyli jako nieme skorupy, kiwające się podczas silniejszych wiatrów w sposób mówiący: „Rzeczywiście, jakby się nad tym zastanowić, mogłem się jednak mylić,.. Kruki pieśczośliwie podszczypywały owych delikwentów, zabierając ze sobą maleńkie resztki pozostałych po nich idei daleko, hen, w bezkresny świat.

Sunset Shimmer stała nad swoim nowo sformowanym imperium. Niebo prawie w całości przysłaniały smoliste dymy. Całkiem sprawnie jej to poszło, powtarzała, próbując jakoś wzbudzić w sobie satysfakcję. Nadaremno.

Zresztą czego się spodziewać po istocie, mogącej w każdej chwili zamienić się w nieśmiertelnego, plującego jadem, kwasem, ogniem i wszystkim o czym tylko można sobie zamarzyć, demona z siódmych piekieł licząc od góry.

Co odważniejsi szybko znikali. Nie pomagały tarcze z honoru, wolności, dobra i ogółem wszystkiego, co można było zawrzeć w ostatniej przemowy dowódcy, dudniącego wśród swoich wojsk przed Wielką Ostateczną bitwą dobra (standardowo w mniejszości) ze złem (standardowo w absolutnej złości).

Pewnego dnia przyprowadzili do niej jakiegoś wojaka, sądząc z rynsztunku, którego nikt nie raczył z niego zdjąć, generała, albo kogoś wysokiego rangą. Liczyli, że wydobędzie z niego informacje na temat rozpieczętowanych po kraju oddziałów obrońców Equestrii, którzy chronili swój kraj poprzez chowanie się po lasach i rabowanie okolicznych wsi. Niestety, ku zdziwieniu i przerażeniu jej rębajłów okazało się, iż z nieszczęśnika wydobyły się tylko jego wnętrzności. Nie miały nic ciekawego do powiedzenia.

Przy truchle generała Shimmer znalazła niewielką książeczkę – coś w rodzaju pamiętnika. Schowała ją za pazuchę swego polowego płaszcza, udając się na przydługą pogawędkę z niejakim Torchwoodem. Ów jegomość udzielił klaczy bardzo długiego i nudnego wykładu na temat odpowiedniego przesłuchiwania jeńców i ogólnego obchodzenia się z nimi. Wykład był bardzo płomienny, przynajmniej od momentu, w którym klacz stwierdziła, iż ma lepsze rzeczy do roboty. Pan Torchwood został odniesiony na szufelce do najbliższej sterty odpadków.

Pozbywszy się wreszcie wszystkich natrętów zasunęła kotarę do swego namiotu i pograżyła się w lekturze. Książeczka pełna była wpisów, w większości całkowicie przekreślonych jedną, solidną linią.

„Drodzy bracia, rycerstwo szacowne... Dziś udajemy się, by pokonać grupkę szalonych zelotów, którzy sięją ferment ku niezadowoleniu naszej wspaniałej władczyni na wschodnich rubieżach!” – głosił jeden z początkowych zapisków.

„Drodzy bracia, rycerstwo szacowne. Nasz ukochany kraj opanowały nierządy i niepokoje. Stoi przed nami zadanie niemałej wagi. Musimy znaleźć i odszukać ogniska tej zarazy...” – mówił początek kolejnego wpisu. Klacz z westchnieniem przerzuciła kartkę.

„Drodzy bracia, rycerstwo szacowne. Nieprzyjaciel rośnie w siłę. Dzisiaj mamy zamiar wydać mu regularną bitwę. Zobaczymy, jak te psubraty poradzą sobie w szczerym polu, pika przy pice! Ku chwale naszej światłej władczyni...”

W miarę, jak klacz przebiegała do przodu, pomijając co nudniejsze fragmenty, całość stawała się coraz bardziej pompatyczna.

„Drodzy bracia, rycerstwo szanowne. Nie lękajcie się, bowiem dzisiaj samo Słońce jest po naszej stronie! Zwyciężymy w znoju, nie poddamy się barbarzyńcom...”

„Drodzy bracia, rycerstwo szanowne. Nadszedł dzień zemsty. Nie walczymy już tylko dla siebie. Nie walczymy już tylko dla innych. Walczymy dla Słońca, które zaszło, lecz na zawsze pozostanie w naszych sercach...” – klacz uśmiechnęła się lekko przy tym wpisie. Była zapewne niedaleko końca notatek.

„Drodzy bracia, rycerstwo szanowne. Niech poleje się krew naszych braci, zdrajców, krzywoprzysięzców i kłamców! Nadchodzi czas zemsty, za bóle i cierpienie, które otrzymaliśmy od tych potworów. Nie bójcie się jednak, wiara w lepsze jutro doda wam sił...”

„Drodzy bracia. Na pohybel skurwysynom, niech żałują, że ich własna matka urodziła! Nie potrzeba nam chwały, lecz krwi... krwi którą odkupimy dusze naszych bliskich, krewnych, jaśnie miłościwych księżniczek...”

„Drodzy” – kolejne słowo była nieczytelne, zakryte mnóstwem naniesionych poprawek. – *„Dzisiaj nie idziemy wygrać. Dzisiaj idziemy odejść w chwale. A chwala oznacza nic innego jak mord. Kurewsko wielki...”* – znowu kilka bazgrołów.

Był to ostatni wpis w dzienniczku, jako jedyny zresztą nie przekreślony. Klacz zastanawiała się, coż one mogły znaczyć, co mówiły o pojmanym ogierze. Czy biedak potrzebował motywacji i pokrzepiał się własnymi słowami z książeczki? A może był na tyle skrupulatny, że każde przemówienie zapisywał ówczasie, by potem, odmówione wykreślić? Hmm.

Sunset bardzo lubiła książki. Pięknie się paliły. Tej jednej jednak nie spopieliała.

Stała na szczycie. Oczywiście w sensie metaforycznym, gdyż w rzeczywistości siedziała. W dodatku nie znowu tak wysoko. W pałacu, jak zresztą wszędzie, dominował przyjemny swąd spalenizny. To płonął świat. Płonął, gdyż nie za bardzo wiedział, coż lepszego miałby teraz ze sobą począć. Sunset oferowała jedyną, dość ciężką do odrzucenia alternatywę.

Poprzez wielką dziurę w ścianie mogła podziwiać kotłujące się na placu poniżej „wojska” „cesarstwa”. Aktualnie zajmowali się odcinaniem sobie nawzajem łbów ze sporadycznymi próbami podzielenia pomiędzy siebie łupów zdobytych podczas grabieży miasta. Magia chwili sprawiła, iż choć klacz nie miała najmniejszej ochoty na popisy wokalne powstała... Pieśń poniosła ją w tany, ostatni już raz... Każdy, kto odważył się wspomnieć później o tym *performance* rozstawał się szybko ze swoimi kończynami... jedna po drugiej, kończąc na głowie.

Sunset Shimmer westchnęła, poprawiając swoją dwukolorową grzywę. Udało jej się. Zniszczyła cały dotychczasowy porządek. Obaliła władców, zdeптаła poddanych, pobiła wojowników... I nie wiedziała zbytnio co dalej z tym zrobić. Jakimś dziwnym trafem jej plan nie zawierał w sobie żadnego aneksu na temat tego, co należy począć w przypadku jego powodzenia. Zresztą, bądźmy szczerzy, dlaczego to akurat JEJ miałoby się powieść? Niezliczone ilości o wiele przebieglejszych postaci o wiele bardziej kreatywnych mocach próbowało już przecież przed nią. Zresztą, chciała się po prostu zabawić, ot co, namieszać trochę w tym pięknym, ułożonym świecie, dodać mu koloru (szczególnie czerwonego oraz pomarańczowego).

Do tego punktu nie doszedł jeszcze żaden złoczyńca przed nią. Przecierała nowe, kompletnie zalane błotem, szlaki.

U jej kopyt leżał cały świat. Nie było już nikogo. Księżniczek, Elementów Harmonii. Niczego, co byłoby w stanie się przeciwstawić. Mimo to było jej strasznie zimno. Dlaczego było jej tak zimno? Sądziła, iż to jakiś tajemniczy magiczno–meteorologiczny efekt, związany z odejściem od pracy nad pogodą większości pegazów. Co jednak najdziwniejsze, wyglądało na to, iż tylko ona odczuwała to nagłe ochłodzenie. Gdy pomagała ogrzać się innym kucykom, te jakoś wcale nie zdawały się z tego faktu zadowolone.

Właściwie to nie wiedziała do końca jak... ale to nie było ważne. Ważniejsze było, iż nie wiedziała DLACZEGO znalazła się na szczycie tego chaosu. Jednego dnia wesoło dekapitujesz sobie płonące kucyki, drugiego ogłaszają cię cesarzową Nowego Imperium. W zasadzie nic to nie zmieniało, klacz już wcześniej ceniła sobie wygodne życie... Zresztą, to wszystko i tak przestało ją pociągać. Przypominało to trochę uczucie, które towarzyszyłoby kucykowi po kilkudziesięciu latach zbierania na telewizor tylko po to, aby w końcu zasiąść przy nim i stwierdzić że w tym cholernym pudle nigdy nie puszczają nic ciekawego. Zresztą,

ile razy można oglądać palenie wiosek, palenie rebeliantów, palenie doradców, palenie łak... Zdecydowanie coś musiało się w jej życiu zmienić, jednak nie miała pojęcia co. W dodatku ten chłód...

Klacz coraz więcej czasu spędzała na snuciu się beczynnym po wielkim pałacu, który należał kiedyś zapewne do kogoś bardzo ważnego. Wieść niesła, iż jego właściciel został zasztyletowany we własnym łóżu. Może i powstałaby z tego powodu jakaś mistyczna legenda o szukającym zemsty upiorze, gdyby nie fakt, iż jakiś czas później rabusie wynieśli z domu łóżo, wraz z poległym w nim możnowładcą. Jak dalej potoczyły się losy mebla, nie było wiadomo.

Obecnie wyposażenie budynku ograniczało się do całkowitego minimum przedmiotów dobrze ukrytych oraz takich, których nie dało się wynieść w mniej niż piątkę kucyków.

Sunset Shimmer coraz mniej czasu poświęcała na sianie terroru, oddając te zadanie w kopyta swych może i nieco mniej kompetentnych, ale mimo to równie skutecznych „poddanych”. Stanowili oni głównie zbójów, pozbawionych skrupułów najemników, rębajłów z odległych krajów, oraz świątłych rycerzy którzy wpadli na świątły pomysł, by przeczekać najgorsze pod skrzydłami nieprzyjaciela i w chwili jego słabości uderzyć, co miało wedle ich mniemania na nowo przywrócić dawny porządek.

Gdyby nie mądre zabiegi Wapniaka poddani cesarzowej z pewnością już dawno rozszarpaliby swoją władczynię na strzępy. A przynajmniej na pewno by spróbowali.

Dajmy na to całą watahę przypadkowych *grabieżców-co-to-stali-się-bohaterami-cesarstwa* podzielił na kilka korpusów, przydzielając do dowództwa każdego z nich osobę zaufaną (warto dodać iż osoby zaufane stanowiły w całości „uśpionych zwolenników starego porządku”, co zresztą wiele mówiło o sentymentach Wapniaka). Każdy korpus z kolei podzielił na o wiele mniejsze kompanie, gdzie jako dowódców ustanowił osoby najgłupsze, zadające najmniej pytań. To i odpowiedni podział zadań ograniczał ryzyko potencjalnych rozrób w armii do (dość jednak wysokiego) minimum.

To trzeba mu było przyznać, Wapniak był kucykiem wykształconym, skrywającym pod kamiennym wyrazem twarzy nietuzinkową inteligencję. I nienawidził, gdy Sunset go tak nazywała. Był jednak rozsądny i starał się za wszelką cenę nie dać tego po sobie poznać. W końcu był szlachetnym kucykiem, któremu to los dał drugą szansę.

Natura szlachetnego jednorożca z kolei niezmiennie mierzyła Sunset. Wapniak był taki... dobry wewnątrz, mimo iż na zewnątrz był totalnym dupkiem i skurwysynem jakich mało. W dodatku skurwysynem z wyższych sfer; manipulacja była dla niego chlebem powszednim. Jego czyny, zdawałoby się, jako jedyne w Equestrii, naprawdę miały na celu poprawienie obecnej sytuacji. Nie zmienianie jej, co było już niemożliwe, lecz naprawienie, doprowadzenie do stanu przeżywalności.

Sunset, wbrew wszystkiemu, czuła pewien sentyment do swojego prawego kopyta, jak zwykli nazywać go wszyscy poza nią. Pamiętała jeszcze czasy, kiedy był wypacykowanym lalusiem, zajmującym się rzeczą odpowiednią dla kucyków możnych, czyli robieniem niczego. Zresztą to była jedna z niewielu migawek, które pozostały jej z poprzedniego, zwyczajnego życia. Jako demon nie lubiła do tego wracać, zresztą, to w jakiś

tajemniczy sposób osłabiało jej moc. Nie żeby umniejszało ją do jakiegoś groźnego dla niej poziomu... Po prostu nie lubiła tego uczucia.

Teraz z jego dawnego ja pozostało głównie: smukły wąsik, nienaganne maniery, oraz pozorna wyniosłość. Irytowało to Sunset, tym bardziej, że pod tą maską skrywał się dobry i współczujący kucyk. Czasami nawet zastanawiała się, po co go przy sobie trzyma. Porzucała jednak te rozmyślania, słuchając skandujących pijackimi okrzykami na jej cześć wojaków. Nie miała bladego pojęcia dlaczego to robili i jako jedyną przyczynę mogła wskazać stojącego u jej boku z kamienną twarzą oraz błyszczącymi oczyma Wapniaka. Przez pewien czas nawet bawiły ją takie całkowicie sztuczne i wymuszone wyrazy czci. Potem zaś straciła nimi zainteresowanie, coraz więcej czasu spędzając w swojej posiadłości.

I tylko od czasu do czasu skazywała kogoś na rozerwanie poprzez przywiązanie do dwóch końców wygiętych do siebie drzew, czasami tylko spopielala kogoś na pył, z rzadka gratulowała dowódcom kompanii dokonania jakiejś wyjątkowo krwawej rzezi. Było jej też zimno, co było dość dziwne, zważywszy na fakt demoniczności jej istoty.

Bywa jednak tak, że po dniach gorących i pełnych wrażeń przychodzą dni powolne, dni deszczowe, gdzie nieszczęśnicy podczas posiedzeń na swych porcelanowych tronach zaczynają zastanawiać się czy aby faktycznie ich życie potoczyło się tak, jak to sobie planowali. Zastanawiają się, czy aby na pewno podjęli dobre decyzje, co mogli powiedzieć, a czego nie powinni, oraz jaki jest skład Domestosa. W Equestrii nastał właśnie taki czas, z tą różnicą, iż prócz kropel wody ze smolistego nieba spadały także żaby. Nie działało to za dobrze na morale świata, nawet wyłączając kucyki, które panicznie bały się płazów.

Klacz stała, opierając swą ociężałą od rozmyślań głowę na parapecie. Bezwiednie obserwowała zabłocone, wypełnione odchodami oraz śmieciami, uliczki jednego z niegdyś najwspanialszych miast w Equestrii.

Zimno nie chciało odejść. Poza tym było jej przeraźliwie nudno. I to nie nudno w zwykłym tego słowa znaczeniu, lecz w znaczeniu przysłowiowej wrony, która siedziała na czubku drzewa, gdyż wyżej już nie mogła. Osiągnęła wszystko, co chciała... i nie miała bladego pojęcia co dalej. Polowanie na zwykłych, bezbronnych mieszkańców Equestrii przynosiło tylko chwilową rozrywkę, która szybko wyparowywała zostawiając tylko dziwny niedosyt i zawiedzenie, gdy cała rodzina padała w mgnienie oka na jedno jej skinienie kopytem. Nawet torturowanie przestało wydawać się interesujące.

Ciszę wypełniał irytujący szum deszczu oraz rechot żab radujących się z bagna, w które zamieniła się kraina Equestrii. Poprzez mokrą breję przedzierał się jakiś obdarty kucyk, od czasu do czasu gniewnie machając kopytem na płaza który akurat wylądował w jego pobliżu. W pewnym momencie podróżnik zachwiał się i z plaśnięciem wylądował w błocie.

Klacz uśmiechnęła się lekko. Zawsze miło było oglądać czyjeś niepowodzenia.

Bywa, iż w takie dni posuchy, gdy każdy, nawet najgłupszy ślimak zadaje sobie zupełnie nonkonformistyczne pytania dotyczące egzystencji, rodzą się idee, które wcale nie powinny ujrzeć światła dziennego. Dajmy na to, utworzenie jednolitego imperium, podwyższenie wieku emerytalnego, rozstanie z ukochaną osobą...

Gdy jednak owe idee rodzą się w umyśle demona ognia, lubującego się w widowiskowym paleniu żywcem wszystkiego, co akurat nie odpowiada jego światopoglądowi, należy czym prędzej złapać autostop... najlepiej do innej galaktyki.

Klacz szybko podniosła głowę – aż coś strzyknęło w jej karku, a następnie ruszyła w głąb pałacu, wydzierając się przy tym:

– WAAAAPNIAK! – Znała tylko jednego kucyka, który mógł jej pomóc w realizacji deszczowej idei.

– Jak... być... dobrym? – wyrzuciła z siebie klacz, gwałtownie łapiąc oddech po długim biegu. Śpieszyła się w obawie, iż idea ta wyparuje nagle z jej umysłu, zostawiając po sobie jeszcze większą egzystencjalną pustkę. Oczywiście, mogła zamienić się w demona i błyskawicznie pozbyć się wszelkich fizycznych niedogodności kucykowego ciała, włączając w to nawet śmiertelne rany, jednak wolą nie straszyć Wapniaka. Nie lubił za bardzo, gdy ryczała w ślepej furii, a wokół niej latała krew oraz posiekane wnętrzości.

– S-słucham? – ogier dał się zaskoczyć, chyba pierwszy raz od początku jego służby u Shimmer. Zastrzygł nerwowo wąsikiem.

– Nie udawaj głupiego – warknęła, a jej oczy zwęziły się groźnie. – Przecież wszyscy wiedzą, że w głębi ducha jesteś... nooo... – klacz odkaslnęła, słowa mimo przymusu deszczowej idei, nie chciały jakoś się kleić – dobrym facetem.

– Dobrym facetem... – powtórzył z rezerwą Wapniak. Przez chwilę marszczył brwi, a następnie jego twarz przybrała znajomy, profesjonalny brak wyrazu. – Obawiam się, że jeśli chodzi o TE sprawy, nie jestem ekspertem. Poza tym, sądziłem, panno Shimmer, iż wprawdzie oczekiwała pani sypialni odpowiedniej dla... hmm... kobiety panny formatu...

Klacz dzieliła kopytem swojego rozmówcę.

– Nie o to mi chodzi, durniu – syknęła. – Poza tym prawda, moje obecne łóżko za bardzo skrzypi – dodała o wiele ciszej.

– Jak być kucykiem... no, takim, co to cię wszyscy lubią i czujesz w środku takie coś... jakbyś wypił mnóstwo alkoholu tylko że nie wypijeś żadnego – plątała się, podczas gdy ogier świdrował ją swym zimnym, zdawałoby się kalkulującym spojrzeniem. Nawet nie potarł miejsca w które oberwał.

– Ohh, chodzi pannie o *takiego* dobrego faceta... – rzekł zupełnie niepotrzebnie przeciągając w sposób ironiczny samogłoski Wapniak. Niemal zawsze wyrażał się w ten sposób w obecności Sunset Shimmer. Klacz nie mogła rozgryźć, czy faktycznie był takim dupkiem, czy po prostu udawał, by zrobić jej na złość. – Kogoś dobrego, pozytywną postać, tuszę?

– Tak tak, dokładnie! To jak się kimś takim stać?

Ogier niemal nieznacznie przekrzywił głowę.

Nie miał bladego pojęcia co też wpadło do głowy tej wariatce. Może mówiła poważnie? A może kryło się za tym jakieś kolejne jej okropieństwo. Gdyby jednak naprawdę chciała się zmienić... Nie mógł zmarnować takiej szansy... Musiał działać powoli, ostrożnie. A gdyby mu się udało.... Póki co jednak postanowił zachować zimny sceptycyzm.

– Obawiam się, iż *kimś takim* nie można się tak po prostu stać. No chyba, że jest się milionerem i przekaże się przy świadkach możliwie jak najmniejszy ułamek swojej fortuny na cele charytatywne...

– Tak, to jest myśl! – klacz, zdawało się, nie wyczuła pasywnego sarkazmu w jego głosie. Rzadko kiedy go wykrywała, albo też po prostu ignorowała. – Przekażę jak najmniejszy ułamek mojej fortuny na cele charytatywne!

– Obawiam się, iż trzy złote monety nie wystarczyłyby, nawet gdyby istniała fundacja, której członkowie nie zostali jeszcze spopieleni, albo rozerwani na drzewach...

– Jestem cesarzową! Gdzie moje bogactwa? – oburzyła się Sunset Shimmer. Jakoś nigdy nie zastanawiała się nad finansowym aspektem swoich działań. W końcu pogoń za pieniądzem to rzecz zwykłych śmiertelników a nie demonów ognia. Nie przyszło jej do głowy iż życie w luksusach (jak na świat ogarnięty przemocą i chaosem) może kosztować. Od papierkowej roboty miała swoje prawe kopyto.

– Złoto topi się w zbyt wysokiej temperaturze – odrzekł filozoficznie Wapniak.

Klacz nie miała jednak ochoty na tego rodzaju egzystencjalne dumania, idea popychała ją do przodu.

– Jak... w takim razie... mogę... być... dobra? – cedziła z groźbą każde słowo. Pytanie zakończyła, trzymając w szponach, które były jeszcze przed chwilą kopytami, szyję Wapniaka.

Ogier nie przejął się tym zbyt. Dawno już postawił wszystko na jedną kartę, gdy zgodził się zostać „Głównym Księgowym”, „Naczelnym Wodzem”, „Wielkim Podczaszym” oraz paroma innymi wielce ważnymi i wielce nudnymi postaciami w służbie demona.

– Zastanówmy się – powiedział powoli jednorożec, postukując się nonszalancko kopytem po nosie. Wisiał, niczym szmaciana lalka w uścisku Sunset Shimmer. – Na dobry początek... myślę, że ciasto będzie dobrym pomysłem.

– Ciasto?

– Dobre klacze przygotowują wypieki a następnie częstują nimi swoją rodzinę – tłumaczył cierpliwie Wapniak. – Tak to zwykło być. Mogłaby panna poczęstować ciastem swoje wierne oddziały. Sądzę, iż z pewnością docenią fakt, iż po raz pierwszy nie będą musieli nikogo zabijać, aby coś zyskać. Poza tym stworzy panna podwaliny więzi ze swoimi poddanymi.

Klacz zamyśliła się na krótko, czemu zresztą sprzyjała deszczowo-żabia aura.

– Po co mi więź z nimi? – zapytała w końcu, choć resztki jej oporu topniały pod naporem idei.

– Łatwiej manipulować kimś, kto ci ufa, komu wydaje się, iż ci na nim zależy.

Wapniak wylądował boleśnie na popękanych kafelkach.

– Ty to jesteś mądry, Wapniak – stwierdziła z uznaniem Sunset.

„Gdybym był mądry, już dawno bym się zabił.” – odrzekł w myślach ogier.

Wszystko już było gotowe, zapięte na ostatni guzik.

Kuchnia wypełniona była składnikami niezbędnymi do przygotowania najwspanialszego ciasta na świecie. Idea była zadowolona. Po raz pierwszy od dłuższego czasu klacz czuła do czegoś zapał.

Wapniak zadbał o to by od dawna nieużywane pomieszczenie na powrót zapełniło się niezbędnymi do pichcenia przyborami oraz składnikami. Były jajka, masło, mąka, cukier waniliowy, posypka kokosowa, proszek do pieczenia, prawie świeże makrele, sól, trochę owoców będących dobrowolnym darem od miejscowego szynkarza... wszystko co tylko

mógłby sobie wymarzyć niedzielny kuchcik. Były też karaluchy, które jednak szybko ulegały samospaleniu. Przynajmniej te, które były na tyle niemądre, by sprawdzić co też za zamieszanie dzieje się w ich zazwyczaj spokojnym miejscu zamieszkania.

Klacz miała na głowie coś w rodzaju białego, zdeformowanego beretu. Jak powiedział jej Wapniak był to niezbędny element wyposażenia każdego *dobrego* kucharza, a poza tym wyglądała w nim oszalamiająco. Jak zwykle, klacz nie mogła stwierdzić, czy sobie z niej żartuje, toteż uznała, iż naprawdę chciał się jej przypodobać, dzięki czemu polectała nieco swoje ego.

Klacz z dziecinnym uśmiechem odgarnęła z czoła wystające spod czapy kosmyki włosów a następnie zabrała się do dzieła.

Mistrzyni kuchni z groźną miną przyjrzała się zawartości miski.

Masa na ciasto płonęła.

Sunset Shimmer nie była do końca pewna, czy tak było w przepisie. Uznała jednak, że to efekt jej pełnego energii miksowania, a co za tym idzie nie ma czym się przejmować. Chyba nawet przypominała sobie, że gdy jej mamusia przygotowywała dla niej ciastka, zawsze obserwowała jak one fajnie płoną, zmieniając powoli swą barwę na czerń. Tak, z pewnością.

Rozpogodziła się, zarzucając próby przerażenia masy kakaowej.

Dosypała cukru waniliowego oraz nieszczęsnego robaczka, który, zwabiony słodkim aromatem zapuścił się na niebezpieczne dla niego tereny.

Płomień buchnął jeszcze wyżej, sypiąc na boki błękitne iskry. Klacz uznała to za dobry znak.

Za pomocą swojej magii złapała drewnianą łyżkę i zaczęła przekładać płonącą substancję do odpowiedniej foremki.

Wiedziała co robi, w końcu była kobietą... w większości.

Na polu, gdzie obozował jeden z oddziałów jej armii panował nieprzyjemny zaduch. Poza wszechobecnym aromatem spalenizny, zasilanym teraz dodatkowo przez nową ideę Shimmer, niepodzielnie królował tu zapach kucykowej ciżby, która to, jak to zwykle bywa z dzielnymi wojakami nie dba za bardzo, gdzie załatwić swe potrzeby fizjologiczne. Obfite deszcze, które przestały padać zapewne tylko dla zaczerpnięcia oddechu, zamieniły wydeptane ścieżki pomiędzy namiotami i ogniskami w wielkie rzeki błota, co, jeśliby chcieć na siłę szukać dobrych stron owej sytuacji, całkiem dobrze maskowało zamiłowanie żołdaków do wypróżniania się na łonie natury.

Właściwie nie było do końca wiadomo, dlaczego, zamiast wprowadzić się do opustoszałych domów niegdyś bogatego miasta, bohaterzy cesarstwa preferowali kiszenie się w tym, wołającym o higienistyczną pomstę do nieba, obozie.

Chodziły słuchy, iż Prawe Kopyto Sunset Shimmer dokładało wszelkich starań, by ową sytuację zmienić. Lokalni dowódcy wyśmiewali jednak te pogłoski, stanowczo twierdząc, iż samo kopyto, pozbawione reszty ciała nie jest w stanie powziąć samemu tak radykalnych działań. Zaiste, nie odznaczała się ona szczególną inteligencją.

Wszechobecne żaby były teraz niczym wisienka na torcie obrzydliwości, niestety, zdawało się, nawet one nie były w stanie wygonić dzielnych wojowników z ich mrowiska.

– Sierżant Gullywash! Wystąp! – zakomenderował Wapniak. Sunset Shimmer chciała osobiście dokonać ceremoniału, jednak ogier stanowczo się temu sprzeciwiał. Czasami klaczy zdawało się, iż jego najszybszym marzeniem było sformalizować wszystko, od zwykłego kichania po administrację imperium.

Z niezbyt równego szeregu wystąpił dowódca kompanii.

Była to klacz o bladożółtym futrze, białej, krótko przystryżonej grzywie oraz fizjonomii taranu do burzenia murów. Nie było niespodzianką, iż większość energii podczas rozwoju jej organizm poświęcił na budowę tkanki mięśniowej, pozostawiając niektóre pozostałe ważne części, w stanie... mało używalnym. Nosila na sobie standardowy, zawiązywany pod szyją, wojskowy płaszcz z drapiącej tkaniny, która jednak dość dobrze chroniła przed niedogodnościami pogodowymi, oraz o dziwo, przed spadającymi z nieba kulami ognia, jeśliby Shimmer miała akurat gorszy nastrój.

Na szczęście dla nakrycia (oraz skrywającego się pod nim żywego młota na nieprzyjaciół), cesarzowa była dzisiaj w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Sierżant Gullywash melduje się na rozkaz! – klacz zasalutowała z siłą, która z pewnością wystarczałaby do przebicia dwudziestocentymetrowej ściany.

– Dobrze się spisaliście, żołnierzu – rzekła Sunset Shimmer, zgodnie z tym, czego nauczył ją Wapniak. Zgodnie z oczekiwaniami doradcy, przez tępy wyraz pani sierżant przebił się przeblask czegoś, co od biedy można by nazwać zadowoleniem. – Jak się mają sprawy w tym... no... obozie?

Klacz kucyka ziemnego zmarszczyła brwi. Te nowe zdanie było zdecydowanie bardziej złożone i trudniejsze do zrozumienia od poprzedniego.

– Melduję, iż z nieba spadały obślizgłe istoty! – stwierdziła w końcu Gullywash, nie wiedząc za bardzo, cóż innego mogłaby zameldować. Ona nie miała swojego Wapniaka, który by nauczył ją odpowiedniego przebiegu ceremonii.

Sunset Shimmer zerknęła na swego doradcę, także nieco zbита z tropu. Biały jednorożec jak zwykle zachowywał całkowicie pozbawioną emocji maskę profesjonalizmu.

– Aaa... jak stoją operacje wojskowe?

– Melduję iż sterroryzowaliśmy jedną wioskę, dokonaliśmy siedemdziesiąt osiem mordów oraz dwanaście gwałtów. I trzy egzekucje.

Nakaz, by skrupulatnie rachować wszelkie poczynania oddziałów, początkowo spotkał się z pewnymi oporami ze strony kadry oficerskiej. Na szczęście denominacja jednego z członków do rangi martwego truchła przyniosła spodziewane rezultaty. Taka Gullywash, dajmy na to, specjalnie dla wykonania rozkazu nauczyła się liczyć aż do siedemdziesięciu ośmiu.

– A podpalenia? Co z podpaleniami, sierżancie?

– Podpaliliśmy... bardzo dużo wszystkiego.

– Dobrze – klacz uśmiechnęła się z nieco udawaną satysfakcją. Przez chwilę sama dziwiła się co się z nią dzieje. Przecież powinna nie posiadać się z radości. Jej „armia” całkiem dobrze przechwyciła po niej pałeczkę siania terroru. Szybko jednak dała sobie spokój z dumaniami, bojąc się, iż zapomni swoich kwestii.

– Przyjmij, proszę, ten oto podarek dla ciebie oraz twojego oddziału – klacz za pomocą magii zabrała z wielkiego stosu za nią jedną z podłużnych, przykrytych serwetką,

blach. Zdjąwszy nakrycie odsłoniła czarną niczym sama noc okropność skrywającą się w metalowej foremce.

Gullywash zamrugła oczami ze zdziwienia.

– Podarek? – wydukała.

– Tak jest. Proszę, poczęstuj się. A potem zadbaj o to, by każdy z twojego oddziału dostał swoją porcję. Żebyś przypadkiem nie zabrała za dużo dla siebie – zażartowała zgodnie z wyuczonym planem. Pani Sierżant wpatrywała się w blachę niczym w najeźdźcę z innego wymiaru. Tacka wylądowała przed jej głową na drewnianych deskach podestu, na którym zazwyczaj pojawiał się (ku zgrozie oddziału) Wapniak z nowymi zarządzeniami.

– Poczęstuj się – powtórzyła z naciskiem Shimmer.

Klacz w sposób zupełnie nie dystygowany rozwarła swoje usta. Cisza się przedłużała. Sierżant odkaslnęła.

Shimmer poczuła isierkę niepokoju, która błyskawicznie zamieniła się w falę gniewu. „Nie podoba jej się moje dobre ciasto?”

Klacz złapała w końcu solidny kawał wypieku i bez zbędnych ceremoniałów wepchnęła go sobie do buzi. Cały oddział wstrzymywał w zadziwieniu oddech. To się jeszcze nie zdarzyło. Trzask mielonego węgla słyszany był zapewne w promieniu co najmniej dziesięciu kilometrów. Gullywash podniosła wzrok na swoją cesarzową. W jej mętnych oczach speriły się łzy.

– To wspaniały prezent – wydusiła, z trudem formując zrozumiałe słowa. Kilka czarnych okruszków wyleciało jej z buzi.

Sunset uważnie obserwowała swojego sierżanta, badając w sobie nowe uczucie. Idea wyła w niej z zachwyty. Zawył także oddział sierżant Gullywash. Nie był jeszcze w pełni świadom, jakież to doznania kulinarne mającą na ich horyzoncie. Na ich nieszczęście solidnie zbudowana klacz przyrzekła sobie w duchu, po raz pierwszy zresztą, iż w pełni wypełni rozkaz, co do joty.

Wapniak pozwolił sobie na jeden szczery, króciutki uśmiech.

Idea, chwilowo zaspokojona stwierdziła, iż utnie sobie krótką drzemkę.

Wtedy też ból istnienia oraz brak dalszych perspektyw uderzył ze zdwojoną siłą. Jedyną różnicą była armia, gotowa teraz wskoczyć za nią ogień. Tak, jakby miało jej zależeć na tej kupie kucykowego gnoju... Kto to widział, żeby tak wariować na widok zwykłego, przygotowanego niezwykle kunsztownie, trzeba przyznać, ale nadal zwykłego, ciasta.

W tym całym byciu dobrym było coś dziwnego. Coś, co ją wielce niepokoiło, o czym wcześniej nie zdawała sobie w ogóle sprawy. Niestety, nie mogła powtórzyć tego eksperymentu, gdyż kuchnia nie wytrzymała jej potężnego pichcenia i trzeba było remontować całe skrzydło pałacu.

Męczyło ją coś niezwykłego, coś nieuchwytnego, coś wymykającego się z kopyt zawsze, gdy już już, miało się odkryć jego istotę. Znowu zaczęła się zastanawiać, jaki jest sens tego wielkiego bajzlu, który kiedyś był wspaniałą Equestrią pod panowaniem Księżniczki.

Rozochoccona nowym obliczem cesarzowej kompania zaczęła często i gęsto sprowadzać do pałacu nowych jeńców w nadziei na przypodobanie się Sunset a może i

nawet w nadziei na znalezienie nowego, bardziej kompetentnego kucharza pałacowego. Większość branek kończyła jako kupka popiołu na kafelkowanej podłodze, jednak oddział Gullywash zdawał się wcale tym faktem nie zrażać. Możliwe, iż sam Wapniak miał z tym coś wspólnego.

Pewnego razu przed nowe oblicze Sunset Shimmer przyprowadzono kucyka ziemnego.

Nie różnił się zbyt od typowych jeńców swojej rasy, wrywanych zazwyczaj z jakiejś nory, lub zapyziałej szopy, gdzie ukrywali się w nadziei, iż nowi najeźdźcy przeoczą ich, dzięki czemu będą mogli w spokoju kontynuować uprawę swojego nędznego skrawka ziemi.

Szara sierść, potargana, czarna grzywa, przerażone spojrzenie ciemnozielonych oczu...

Na jego nieszczęście Sunset doskwierał akurat silny wpływ idei.

Już już, miała spalić go leniwym machnięciem... Zatrzymała kopyto w pół ruchu.

Powstała ze swojego siedziska. Podeszła do trzymanego przez dwójkę śmierzących żołnierzy nieszczęśnika.

„Zaraz, co mówił Wapniak o byciu tym... dobrym? Co się robi, jak się chce na to zachorować? Aaa, no tak!”

– Jak się nazywasz?

„Więź, po pierwsze więź.”

– Hanmmnmnm – wymruczał skrajnie przerażony jeniec.

– Słucham? Chyba nie dosłyszałam – klacz uśmiechnęła się delikatnie. W jej głosie wibrowały nutki groźby. Oczy obcego rozszerzyły się ze strachu.

– Harvest Moon – powiedział, przełknąwszy uprzednio kilka razy ślinę.

Sunset Shimmer skinęła głową. Strażnicy natychmiast puścili wymizerniałego ogiera.

– A więc, Harvest Moon, jakie jest twoje największe marzenie?

Ogier jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Zdawało się, iż za chwilę wyjdą mu z orbit.

– No, proszę? – zgodnie z zaleceniami Wapniaka żółta klacz użyła magicznego słowa. Co prawda nie wierzyła w zabobony magii bez użycia rogu, lecz i tak nie miała nic do stracenia. Ku jej zdziwieniu czarodziejski wyraz odniósł pewien skutek. Jeniec błyskawicznie zwinął się w drżący, szary kłębek, popiskując:

– Nie zabijaj mnie, proszę! Nie zabijaj!

Klacz uśmiechnęła się z cierpliwością, choć w rzeczywistości zaczynała powoli się irytować.

– Nie mam takiego zamiaru. Chcę po prostu wiedzieć, jakie jest twoje największe marzenie i czy udałoby mi się coś w jego kwestii poczynić.

Harvest Moon delikatnie wysunął głowę, zerkając nieśmiało, ukradkiem na stojącą nad nim Sunset Shimmer, demona ognia, palącego i rozrywającego na strzępy każdego, kto nawinął jej się pod szpony.

– Więc?

– Zawsze... zawsze chciałem być jednorożcem – palnął szybko ogier a następnie ponownie zwinął się w kłębek przerażony własną śmiałością.

Sunset Shimmer odruchowo poszukała w sali swojego doradcy. Nie było go jednak, zapewne dekował się w swojej fortecy z papieru, do której klacz raczej nie miała wstępu. Wapniak bardzo nie lubił, gdy jego niezwykle ważne raporty ulegały nagle spopieleniu.

– Jednorożcem... – powtórzyła klacz, zamyślając się głęboko. – To się da zrobić – rozpromieniła się znieńacka. Harvest drgnął gwałtownie, a następnie zerknął kątem oka na górującą nad nim pomarańczową klacz. Był zupełnie skonsternowany. Skonsternowany i przerażony.

Sunset Shimmer zwróciła się ku ziejącej w ścianie olbrzymiej dziurze, będącej w jej mniemaniu niezbędnym elementem architektonicznym oraz dekoracyjnym pałacu. Lubiała przez tę wyrwę spoglądać na miasto pod nią.

Za pomocą swej magii wyrwała jeden z wystających ze ściany metalowych prętów, będących zapewne częścią stelaża, na którym dawni budowniczowie postanowili osadzić ściany pałacu. Przyjrzała mu się uważnie a następnie pokiwała z uznaniem głową.

Może i nie było to zbyt finezyjne rozwiązanie... ale spełnianie marzeń było rzeczą z pewnością dobrą... Klacz nie mogła się doczekać, aż znowu coś rozgrzeje jej wewnętrzny chłód.

W międzyczasie do sali wkroczył Wapniak, niosąc za pomocą magii stertę jakiś papierów. Szybko jednak dostrzegł leżącego na podłodze jeńca oraz strażników i rozmyślnie postanowił poczekać ze swoją sprawą do zakończenia obecnej.

Czerwonowłosa klacz leniwie obracała metalowy drąg w delikatnej otoczce swej magii, obserwując przy tym jeńca. Myśli jej jednak płynęły gdzieś daleko poza jej otoczeniem, jakby tylko od niechcenia poświęcając się przekazywaniu mocy prętowi. Idea była podniecona.

– A więc chciałbyś być jednorożcem? – Sunset Shimmer zwróciła się w końcu do szarego kucyka ziemnego.

– Tak, tak to głupie, przepraszam – wypiszczał Harvest Moon.

– Powstań – rozkazała klacz, podchodząc do jeńca.

Ten, drżąc niczym osika, wykonał polecenie.

Klacz uważnie obejrzała ogiera... był przeraźliwie chudy.

Machnęła na próbę prętem. Zmrużyła oczy... Wbiła go w sam środek czoła nieszczęśnika.

Ogier zrobił zeza, próbując dojrzeć, jak spełnia się jego marzenie, a następnie padł z cichym jękiem na posadzkę. Z jego przebitego czerepu zaczęła sączyć się krew.

Sunset Shimmer uśmiechała się zadowolona: zrobiła coś dobrego – obrzuciła spojrzeniem pozostałe w pomieszczeniu kucyki i ich kamienne twarze – prawda...?

– Panno Sunset Shimmer – odezwał się w końcu Wapniak, przerywając wibrującą w Sali ciszę. – Mam dla panny bardzo ważne sprawozdania z poczynañ Drugiego Korpusu. – Nie przejął się zbyt wiele rozegrana na jego oczach scena. Zapewne sądził, iż to monotonia wkradła się w życie cesarzowej i dla jej przełamania klacz postanowiła zastosować nowy rodzaj egzekucji.

Trup leżał na środku, wciąż zezując na wbity w swe czoło pręt.

Sunset poczuła nagle niepokój.

Doskoczyła gwałtownie do swego doradcy, łapiąc go kopytami za wyblakłą kamizelkę.

– Spełniłam jego marzenie – pochwaliła się. – Jak myślisz, czy on jest teraz szczęśliwy?

Wapniak wychylił się teatralnie zza Shimmer i zerknął jeszcze raz, tak dla pewności, na leżące na środku zwłoki.

– Myślę... iż z pewnością jest on teraz martwy – oznajmił, jak przystało na prawdziwego księgowego.

– Ale czy jest szczęśliwy? Czy go uszczęśliwiłam? – dopytywała się klacz coraz silniej potrząsając swoim jedynym doradcą. Kilka kartek wyleciało z trzymanego przez niego stosu.

– Cóż, sądzę, iż bycie martwym wyklucza możliwość bycia szczęśliwym, zważywszy na fakt iż martwi nie odczuwają zazwyczaj nic... Chyba, że mamy do czynienia z ożywieńcem, co jednak w obecnej sytuacji, jak sądzę, nie ma miejsca.

– Jak to nie jest szczęśliwy? – w głosie klaczy zaczynały wibrować coraz wyraźniejsze nutki gniewu. Jej postura stopniowo zaczynała się zmieniać, kopyta się wydłużały... – Przecież... przecież spełniałam jego marzenie! Chciał być jednorożcem – rzuciła, jakby próbując się usprawiedliwić.

– Nawet gdyby wbicie w głowę metalowego elementu konstrukcji budynku miało przydawać delikwentowi magicznych mocy, na nic one nieżywemu, czyż nie?

Sylwetka się wydłużyła, mięśnie zadrgały pod naciągniętą skórą, grzywa stanęła w płomieniach.

– Powiedz, że go uszczęśliwiłam – nakazała głosem, który byłby w stanie przełamać nawet najtwardszą stal.

Dwójka strażników poczęła ostrożnie wycofywać się ku wyjściu.

Na miejscu Wapniaka każdy kucyk z pewnością czym prędzej zapewniłby: „No tak tak, faktycznie. Uszczęśliwiłaś go, panno Sunset Shimmer. Udało ci się. Wybacz mi moją ignorancję.” starając się przy okazji powstrzymać wszystkie ziarenka ironii siłą pchające się do wypowiedzi. Gdyby tak się stało losy imperium i cesarskiej potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Wapniak jednak nie był każdym kucykiem. Ciekawe czasy rodzą jeszcze ciekawsze osoby.

– Niestety, panno Shimmer. Nie mogę tego powiedzieć, gdyż to nieprawda. Zabiła go panna, a to raczej nie jest rzecz, która powoduje uśmiech na twarzy interesanta. Dokonała panna czynu godnego prawdziwego psychopaty.

Demon ognia ryknął podnosząc malutkiego nagle białego jednorożca do góry. Pochwycony nie próbował się jednak wyrwać, tkwił niemal nieruchomo, niczym jakaś demoniczna, pozbawiona duszy lalka. Nie dbał o to, co się z nim stanie.

Płomienie objęły dwójkę postaci.

– UCZYNIŁAM DOBRO! – ryknęła.

Ogier odpowiedziałby rzeczowo na to stwierdzenie, jednak obecnie miał problemy z zaczerpnięciem powietrza.

– JAK ŚMIESZ...

Ogień nagle zgasł z cichym sykiem.

Postać demona zaczęła gwałtownie maleć, aż w końcu na jej miejscu na powrót pojawiła się klacz o czerwono-żółtej grzywie.

– Masz rację... – powiedziała cicho, spoglądając co rusz to na swojego doradcę, to na ciało z wbitym w głowę prętem. – Nie potrafię robić dobra...

– Tego nie powiedziałem – zauważył Wapniak. Klacz jednak go już nie słuchała. Znowu było jej przeraźliwie zimno.

– Nie potrafię – szepnęła.

Jednorożec postanowił milczeć. Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie.

Sunset Shimmer zaczęła drżeć.

Nic nie szło, tak jak powinno.

Sunset Shimmer prawie całkowicie straciła zainteresowanie swoim imperium.

Próbowała na nowo uchwycić to coś. Ponownie zabrała się za ugotowanie czegoś dla swoich poddanych. Skończyło się gigantyczną eksplozją i słupem ognia wysokim co najmniej na sto metrów. Nawet pichcić i obdarowywać nie potrafiła dobrze. Nic nie było dobre. Była przeżarta ideą do szpiku kości, a i tak nie mogła uczynić nic odpowiedniego. Zdawało jej się, iż to coś utraciła już na zawsze. Nie pomogły nawet zabiegi Wapniaka, który z jakiegoś powodu natarczywie, wręcz irytująco starał się ją namówić do zostania przy jej idei. Robił to, ma się rozumieć, w swój zimny, kalkulacyjny sposób.

Jednorożec stworzył nawet specjalny stopień wojskowy, tylko po to, aby Shimmer mogła zrobić coś dobrego i nagrodzić nim kilku losowo wybranych żołnierzy. I to się nie powiodło. Podczas ceremonii, na skutek zawalenia się jednej z wież, straciła dobrą połowę swojego „ulubionego” oddziału.

Ułagodzone przez zabiegi Wapniaka bunty zaczęły ponownie przybierać na sile.

Z nieba coraz częściej padał deszcz. I żaby.

Płomienie nie chciały się palić.

Czas mijał. A wszechświat się rozszerzał. Naukowcy nazywają to zjawisko – mowa oczywiście o rozszerzaniu wszechświata, a nie mijaniu czasu – kosmiczną inflacją. Gdy jednak inflacja jest zbyt duża, lub trwa zbyt długo, ceny mogą osiągać niebotyczne, wręcz niebezpieczne rozmiary. Skutki inflacji powodują jeszcze większą inflację. Sunset Shimmer w końcu przyszło zapłacić rozдутą poprzez kosmiczną inflację cenę idei.

– Zimno mi, strasznie mi zimno – jęknęła klacz.

Jej sylwetka pokryta była całunem płomieni, które wściekle pożerały delikatne ciało. Skóra na grzbiecie zaczynała powoli pękać. W niewielkim gabinecie rozchodził się powodujący mdłości zapach pieczonego mięsa.

– Sądząc z panny obecnej powierzchowności, powinno być pannie, wręcz przeciwnie, bardzo gorąco – rzekł jak zawsze niewzruszony doradca cesarzowej. Obserwował spod lekko ściągniętych brwi dygoczącą klacz.

– Jest mi zimno tu... wewnątrz – klacz poklepała się płonącym kopytem po piersi. Skóra zaczęła się zwijać. Shimmer nagle zamarła, wpatrując się w swoje własne drgające ciało. Potem głuszą, wypełnioną tylko trzaskaniem ognia oraz skwierczeniem, zawładnął krzyk.

„A przecież mogła zamienić się w demona i w mig pozbyć się wszelkich ran. Dlaczego tego nie robiła?”

– Nigdy nie... będę... dobra... – rzekła z wyraźnym wysiłkiem.

– Cóż, wydaje mi się, iż właśnie panna odchodzi. Muszę przyznać iż taki czyn jest naprawdę czymś dobrym. Uwalnia panna świat od prawdziwego terroru i zła. Godne pochwały.

Klacz wrzasnęła w odpowiedzi. Już chyba nie słyszała. Zaczęła miotać się z krzykiem po niewielkim pomieszczeniu, przewracając biurko oraz puste regały. W końcu jej niemal na ślepo objające się ciało znalazło okno. Okno z ostatnią w tym pałacu zachowaną szybą. Nie na długo.

Szkoło rozprysło się we wszystkie strony gdy żywa pochodnia wyskoczyła ku wieczności.

Skulony Wapniak ostrożnie się wyprostował.

Było już po wszystkim.

Wyrżał przez wybitą szybę.

Jakieś dziesięć metrów niżej dogorywała Sunset Shimmer, cesarzowa. Idea płonęła wraz z nią, śmiejąc się szaleńczo przez łyzy.

Fancypants został cesarzem.

Okazało się jednak, iż opowieść o samobójstwie poprzedniczki mocno podkopywała jego autorytet. Choć wcale się z tego faktu nie cieszył, musiał rozgłosić światu opowieść o tym, jak to dokonał na potwornej władczyni zabójstwa doskonałego, a przy tym heroicznego. Taką wersję tłumy pozbawionych oglądy oraz rozumu żołdaków przyjęły już bez mrugnięcia okiem. Podobnie było ze zwolennikami starego porządku. Wszyscy wiwatowali na cześć nowego, wspaniałego, tym razem już dobrego, władcy imperium.

Szybko zapomniano o Wapniaku. Equestria wchodziła w nowy wiek.